XXII. Kraków, 15 marca 1919 r. Nr. 6.

# „BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

**Kwartalnie:** z przesyłką pocztową 7 kor. 50 hal.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). Telefon Nr. 479

W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: **Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. — Łódź, Piotrkowska 62.**

**Redaktor: Konstanty Krumłowski.**



## Skrupuły.

**Mąż** *(wróciwszy nad ranem)*: Śpi, śpi! Przyszła przedemną!... Czy mnie tylko znowu nie oszukała – o sto koron, jak onegdaj?!..

**Numer pojedynczy 1 kor. 30 hal. — 88 pf.**

## Od Administracyi.



Z numerem niniejszym kończymy I-szy kwartał XXII-go roku naszego wydawnictwa. Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto bowiem prenumeraty nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Prenumerata w Galicyi, już wraz z przesyłką pocztową, wynosi:

| | | |
|---|---|---|
| Rocznie | K 30·— | Mk 20 20. |
| Półrocznie | „ 15·— | „ 10 10. |
| Kwartalnie | „ 7 50. | „ 5 05. |
| Pojedynczy egzemplarz | „ 1·30 | „ — 88 |

### Ważny powód.

— I cóż to?... Państwo zmieniliście mieszkanie? A tacy zadowoleni byliście z tamtego!... Jakiż powód, jeśli można wiedzieć?...

— Taki, że w tamtej dzielnicy już nam nikt nie chciał dawać na kredyt... A w takiej atmosferze duszuej chyba trudno żyć!...

### Z krytyki teatralnej.

„Niema z Portici" przemówiła do serc słuchaczy...

### Złośliwy.

— Panowie!... Mam pewną ideę w głowie! — mówił pan X. w towarzystwie.

A pan Y. na to:

— Bój się Boga! Tylko ostrożnie z tem... Tak łatwo można się nabawić wstrząśnienia mózgu!...

### Z Teatru Powszechnego. „Trzynastka" S. Turskiego.

Z gustem zjesz kawałek mięsa,
Gdy już sprzykrzą ci się ciastka,
Po mdłych farsach — publiczności
Smakowała więc „Trzynastka".

Jest w niej werwa, życie, humor,
Przyrodzony już Turskiemu,
Jest w niej także krakowianka,
Co zaciąga „po lwowskiemu".

Stary, dobry druhu Turski!
Czy lwowianka to być musi?
I czy nie ma już aktorki,
Co jest godną Twej Wiktusi?!

### Jak wygląda dusza?

W wiejskiej szkółce starał się ksiądz katecheta wbić w pałki niepojętnych uczniów, co to jest dusza.

Tłumaczył im więc, że dusza ludzka jest niewidzialną, że ona rządzi ciałem, a ulatuje z niego, gdy się życie kończy.

W tej chwili wyrywa się mały Wojtuś z ostatniej ławki:

— A ja, proszę księdza — mówi — widziałem duszę!

— Tak?... A jakże wygląda? — pyta ksiądz z uśmiechem.

— Ma czerwoną spodnicę i biały fartuch, a na głowie chustkę w kratki...

— A gdzież ty ją widziałeś?

— Wczoraj wieczór widziałem, jak wylatywała przez okno z pokoju naszego pana nauczyciela, a on mówił do niej: „Moja duszko!... A przyjdź i jutro o tym samym czasie!..."

### Do bani z wojną.

— Do bani z wojną! — mówiła raz w towarzystwie panna Eulalia, która już grubo przekroczyła Rubikon życiowy i nosiła na sobie ślady zęba i grzebienia czasu. — Ja ją sobie zupełnie inaczej przedstawiałam! Mówiono, że będą mordować, palić, gwałcić, a tu nic...

To rzekłszy, westchnęła ciężko, ale gorąco.

### Pobożna babcia.

Stara babulenka, przyjmując odwiedziny znajomego księdza, na zapytanie, jak dzień spędza i czy się nie nudzi, odpowiada:

— A gdzieżbym ja się nudziła!... Ja jestem cały dzień zajęta!... Rano robię pończochę i pomagam córce w kuchni, po południu czytam rodzinie Pismo święte...

Aby udowodnić, że to prawda, podreptała też starowina do komody i przyniosła stamtąd sporą księgę.

W chwili, gdy ją otwarła, oczy jej zaświeciły dziwnym blaskiem. Zaciekawiło to duchowną osobę więc pyta:

— Cóż kochaną panią tak ucieszyło?

A babcia pokazując okulary, mówi:

— Niech sobie dobrodziej wyobrazi, już od roku przeszło ich szukam i byłam pewna, że przepadły... A one sobie najspokojniej leżą w tej książce...

### Fatalne omyłki druku.

*Z bajki:* W oczekiwaniu miłych gości zerznął pustelnik swą jedyną kozę.

*Ze sprawozdania:* Na tak obcasowe przyjęcie kandydat nie był zupełnie przygotowany.

*Z raportu policyjnego:* Korzystając z ogólnego zamieszania, zbrodniarz wysunął się tyłkiem.

*Z kroniki:* Znana nasza artystka, panna H. może mówić o cudownem prawie ocieleniu. Gdy przechodziła ulicą Szpitalną, spadł tuż obok niej kawał gzymsu, nie wyrządzając jej żadnej szkody.

*Z powiastki:* Staś zapytał więc Rózię, co ma począć. Ale Rózia nie chciała rodzić.

*Z wykładu:* W Rzymie w tym czasie panował Tyfus.

*Z powieści:* Pan Stefan szczekał na pannę Manię już prawie pół godziny.

# Numer 2.

Byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Pomagaliśmy sobie zawsze wzajemnie, nawet wówczas, gdy się o jakieś szaleństwo rozchodziło. Tylko gdy w grze była kobieta, wtenczas przyjaźń jego znikała. Jeżeli tylko przeczuł, że mogę gdzieś jaki sukces odnieść, oho! już się zjawiał i wygryzał mnie. Trudno mu to wcale nie przychodziło, temu prawdziwie pięknemu, szarmanckiemu Tadkowi. I gdym nieraz już, już dochodził do celu, on się zjawiał i już było dla mnie wszystko stracone. Z początku znosiłem to dość cierpliwie, lecz w końcu zacząłem zębami zgrzytać i postanowiłem sobie stanowczo z nim się rozmówić i — choć to nie jest moim zwyczajem — zemścić się na nim za wszystkie zawody.

Dostaliśmy równocześnie urlop i wybraliśmy się zaraz do Zakopanego. W drodze, nie pamiętam już na której stacyi, wsiadła do naszego przedziału jakaś dama, podczas gdy nasz dotychczasowy trzeci towarzysz podróży na tej samej stacyi wysiadł. I zostaliśmy znów we trójkę. Jak gdyby iskra elektryczna na nas wpadła, gdyśmy pod lekką woalką zobaczyli jej prześliczną główkę. Wspaniała, junońska postawa i wzrost, wpadły nam już pierwej w oko. Tadek spojrzał na mnie, ja na niego i nie wiele brakło, a bylibyśmy obaj a tempo mlasnęli językiem.

Jak tylko nasze piękne vis à-vis wygodnie się umieściło, rozpoczął szelma Tadek zaraz atak. W przeciągu niespełna pięciu minut prowadził już z nią nadzwyczaj ożywioną rozmowę. Najpierw jakieś skromniutkie, ugrzecznione zapytanie, potem, jak dobrze wymierzona strzała, komplement, jaki się nie co dzień słyszy i zaraz potem, no — jednem słowem, że gdybym i ja był dziewczyną, z pewnością bym się jego sidłom także nie obronił. Naturalnie, że ani myślałem z nim współzawodniczyć. A pomimo tego miałem uczucie, jakbym nie był zupełnie niedostrzeżonym. Owszem, nasza piękna kilkakrotnie zwracała się do mnie w rozmowie; zrobiła nawet zachwycającą mnie uwagę o przyjemności rozmowy we trójkę, że ta trzecia osoba jest wprost niezbędną, bo jej można powiedzieć to, co ta druga słyszeć nie chce!

Przedstawiliśmy się wzajemnie. Ona była żoną starego fabrykanta i jedzie do Szwajcaryi, a celem jej podróży zabawa i rozrywka. W X... zatrzyma się w hotelu „pod 4 porami roku" tak długo, jak długo się nie znudzi, poczem znów dalej, by znów tam się zatrzymać, gdzie będzie prawdopodobieństwo przyjemnego spędzenia czasu.

— Chciałabym koniecznie użyć czegoś w tej podróży — mówiła z najniewinniejszą prostotą.

Tadek przypuszczał coraz silniejszy szturm i gdyby był sam z nią, z pewnością jeszcze przed przybyciem do owych „4 pór roku" już tu by się między niemi zaczęła wiosna. Ale ja nie tylko, że byłem mu osobistą przeszkodą, lecz nawet awansowałem ustawicznie w łaskach u tej ślicznej kobiety. Parę razy uczułem leciuchne nadepnięcie jej nóżki, a nawet w chwili nie zauważonej przez Tadka uścisnęła mi znacząco rękę. Pomimo tego byłem najpewniejszym, że skoro tylko Tadek swoje zabiegi na seryo rozwinie, wszelka nadzieja dla mnie zniknie.

Niedaleko przed X... znalazła ta zachwycająca istota sposobność szepnąć mi, że dziś pomiedzy 5 a 6 popołudniu wstąpi do mego pokoju i zabierze mnie ze sobą na spacer. Myśmy ją już bowiem poprzednio zapewnili, że prócz hotelu „pod 4 porami roku" żadnego innego w X... nie znamy, że więc i my w nim zamieszkamy. To, że ta cudna, namiętna kobieta, pomimo tego, że Tadek tak usilnie o to się starał, mnie wyróżniła, zaostrzyło moje wszystkie zmysły. Obecnie przejmowała mnie tylko jedna myśl, by bodaj raz, ten jeden jedyny raz odnieść nad Tadkiem zwycięstwo. O, to mi się musi udać! I uda, bo przecież główna osoba zdawała się być najzupełniej po mojej stronie. Gdym jednak spojrzał na niego, koło niej siedzącego, tak spokojnego i pewnego zwycięstwa, opadały mnie znów wątpliwości. I wówczas przejrzałem, że z Tadkiem mogę skutecznie współzawodniczyć tylko na drodze dyplomatycznej.

Przybyliśmy wreszcie do X. Nasza towarzyszka pojechała naturalnie sama i najpierw do hotelu. Jadąc do tego samego celu razem z Tadkiem w powozie, rozpocząłem działać.

— Słuchaj Tadek! — odezwałem się do niego bez ogródek. — Już tyle razy wystrychnąłeś mnie na dudka, czyż nie byłoby to wreszcie rzeczą honoru i ludzkości, żebyś pozwolił byśmy raz bodaj z równymi szansami walczyli?

Wzrok, którym mi naiprzód odpowiedział, był wprost obelżywym. Lecz to wrażenie natychmiast znikło, gdy Tadek z całą serdecznością mi oświadczył, że każdy możliwy projekt bez kwestyi przyjmuje.

— A więc dobrze — pospieszyłem, by to jego szczęśliwe usposobienie wykorzystać — więc grajmy o nasze szczęście!

## Domowe zacisze.

Stary paskarz sklep swój sprzedał
Wskutek kiepskiej konjunktury
I klientom swym dziękuje,
Że obdzierał ich ze skóry.

Dzisiaj syty trudów życia —
Jak z emfazą o tem pisze,
Likwiduje interesa,
By w domowe pójść zacisze.

Jakżeż karmią w tem „zaciszu"?
A czy spać tam jest wygodnie?
Wszak w zaciszu już przesiedział
Swego czasu dwa tygodnie!

## Dysputa teologów.

Raz zjechało się w pewnej karczmie przypadkowo trzech duchownych: Jezuita, Dominikanin i kwestarz Bernardyn.

Wszyscy trzej byli głodni, a w karczmie nie było nic do jedzenia, tylko jedno jedyne jajo na twardo. Każdy miał na nie apetyt, a żaden nie miał ochoty ustąpić pierwszeństwa drugiemu. Aby jednak jakoś się z tem załatwić, postanowili zgodnie, że ten zje jajo, który wynajdzie doń najodpowiedniejszy cytat z Pisma świętego lub kościelnych rytuałów. Jezuita i Dominikanin byli, każdy z osobna pewni siebie, Bernardyna się nie obawiali, bo gdzieżby tam taki, jak mówili, pała, mógł im sprostać.

Pierwszy wziął jajo w rękę Jezuita i obłupując je, wyrzekł poważnie:

— *Egredere ex domicilio tuo!* (Wynijdź z domostwa twego...).

Następnie podał je Dominikaninowi, a ten, posypując jajo solą, zacytował słowa, jakich się używa przy chrzcie:

— *Accipe salem salutis...* (Przyjmij sól zbawienia...)

Z kolei wziął jajo w rękę Bernardyn, popatrzył na nie z nabożeństwem, połknął je z apetytem i rzekł:

— *Consumatum est!..* (Spełniło się... Ostatnie słowa Chrystusa na krzyżu).

Poczem ukłonił się i wyszedł.

## Zadanie domowe Baumgartena.

Baumgartenowi ogromnie się spodobała powiastka Kraszewskiego p. t. „Dziad i baba", szczególniej zaś jej zakończenie o tej śmierci, co to „kominem wleźć musiała".

To też, gdy profesor kazał im opowiedzieć ją własnemi słowy, dołożył starań, by rezultat był jak najlepszy.

Oto, co napisał:

„Pewnego razu był sobie jeden dziad i jedna baba, ona słabo kaszląca, a on podobny do kury. Mieli oni chatkę o jednem okienku i jeden był przy niej wychodek. Żyli tu bardzo szczęśliwie i spokojnie, czemu się nikt nie dziwił, gdyż ona była praczką i cały dzień bawiła za domem, on zaś, jako stróż nocny, nie sypiał nigdy w domu. Z tego powodu nie mieli też dzieci, ale to ich nie martwiło, gdyż wychowanie dzieci jest dziś bardzo kosztowne, a zresztą nikt powiedzieć nie może, co z nich wyrośnie. Martwiło ich natomiast, że umierać musieli, gdyż dziś pogrzeby dużo kosztują, a oni byli biedni. Dlatego też prosili Pana Boga, aby umarli równocześnie, by kto inny musiał się zająć ich pogrzebem.

W niedzielę popołudniu, nie mając nic lepszego do roboty, kłócili się o to, kto wprzód umrze i doszli do przekonania, że to jednak jest niemożebne. Baba mówiła, że ona umrze pierwej, bo jej się spieszy, dziad zaś będzie musiał płakać na jej pogrzebie. Na to on odpowiedział, że on to zrobi wcześniej, bo ciągle kaszle i umrze zaraz rano w zimie, gdyż mu w nocy nie wolno, ponieważ jest w służbie. Ta kłótnia trwała długo, a potem chcieli obydwoje iść na spacer, ale w tej chwili ktoś do drzwi zapukał. Dziad zapytał z obowiązku: kto tam?... a baba uczyniła tosamo, ale z ciekawości. — Z poza drzwi odezwał się głos, że tam jest śmierć, która po nich przyszła.

Jako grzeczni gospodarze powinni ją wpuścić do izby, ale żadne nie chciało drzwi otworzyć. Dziad wysyłał babę, ale ona sobie nagle przypomniała, że jest chora i poszła się położyć za piec, gdzie miała swoje łóżko, dziad zaś, jako odważniejszy, wpakował się pod ławę, choć mu tam było niewygodnie. Śmierć zaś pukała i pukała, ponieważ zaś padał deszcz, a jej się spieszyło, gdyż miała jeszcze dużo do roboty i nie myślała stać pod drzwiami dwieście lat, bo szkoda jej było nóg, znudzona wlazła kominem, ale, czy ich zabrała, o tem poeta nie mówi.

A taka śmierć, która włazi kominem, nazywa się „zaczadzenie".

### Nieporozumienie.

Za owych dawnych, lepszych czasów, gdy u nas spotykało się częściej wymierającą już dziś kastę tak zwanych chirurgów, rekrutujących się przeważnie z czeskich przybyszów, wezwano raz takiego pana do chorej kobiety...

Opukał ją, obmacał, obsłuchał, oglądnął język i tam dalej, wreszcie rzekł:

— Ja dziś żadnej medycyny nie będę zapisać, ale na to bolące miejsce trzeba robić okłady z *czarne koczice*, na noc zaś wziąć do łóżka *gorącego romanka.*. Ja tu jutro przychodzim!..

Nazajutrz przybywa pan doktor wedle zapowiedzi i przekonuje się, że chora ma się gorzej... Okładów nie robiono, gdyż „czarnej kocicy" nie można było nigdzie znaleźć, a o owym „gorącym Romanku", jakiego na noc miała sobie wziąć do łóżka, pacyentka nawet słyszeć nie chciała, oświadczając, że woli umrzeć, niż złamać wiarę, zaprzysiężoną przed laty nieboszczykowi mężowi...

I długich i szerokich potrzeba było tłumaczeń, że to miała być „czarna gorczyca" a nie „kocica", a ów „Romanek" to najzwyklejszy „rumianek"...

Pan doktor się irytował i mruczał pod nosem wychodząc:

— A to głupia chłopa!... Nic nie rozumie od intelligentna mowa!...

### Niebezpieczny paskarz.

(Rozmowa dwu terminatorów).

— Wiesz ty, Felek, że mój majster to ci morowy paskarz!

— A czemże on handluje?

— Niczem!... Ale szelma wali w skórę paskiem, czy jest za co, czy nie!

## „Ach! Ta trójka!.."

Pies i kochanek Loli,
To dwaj jej opiekuni,
Pies i kochanek mają
Te same prawa u niej.

Do miasta, na przechadzkę,
Do kuchni, czy na ganek,
Pies wszędzie za nią idzie,
Tak samo — jej kochanek.

Ma Lola dość zajęcia,
Przeważnie jednak nocą,
Lecz już się nie pytajcie,
Dlaczego, jak i poco?

Gdy z obcym romansuje,
Przed obcą stojąc bramą,
Pies mądry się usuwa,
Kochanek jej — tak samo.

Gdy gościa ma na górze,
Co bywa często dosyć,
To wiedzą opiekuni,
Że mają się wynosić.

Tam słychać szept stłumiony,
Szum spodnic i falbanek.
Pies czeka w przedpokoju,
Przed domem zaś kochanek.

Opuści gość jej progi,
Gdzie spędził miłe chwile,
Pies szczeka ucieszony,
Kochanek pyta: „Ile?!"

I obu serce dźwięczy
Tych samych uczuć gamą,
Pies wtedy żreć dostaje,
Kochanek zaś — tak samo.

Gdy deszcz i niepogoda,
To Lola w domu siedzi,
Kolacya zaś się składa
Z bułeczek i ze śledzi.

A zrana, kiedy słońce
Zagląda do firanek,
W pokoju panny Loli
Jest piesek i kochanek!...

— Grać? Jakże to sobie wyobrażasz?

— Zupełnie pojedynczo!

Wyrwałem kartkę z mego notesu, przedzieliłem ją na pół, napisałem na każdej połowie po jednej cyfrze, zwinąłem je w trąbki i podałem Tadkowi.

— No, ciąg! Ale daj najprzód słowo, że się zastosujesz do wyniku tego losowania!

— A cóż jest napisane na tych losach?

— Naturalnie jedna jedynka i jedno dwójka. Kto wyciągnie dwójkę, ten da drugiemu zupełne pierwszeństwo. — I powtórnie podałem mu losy.

— A więc dobrze — rzekł i wyciągnął dwójkę.

— — — — — — — — — — — — —

Do hotelu przybyliśmy o godzinie 12. Po gruntownem odświeżeniu i przebraniu się Tadek wyszedł. Mieliśmy wszyscy troje spotkać się dopiero przy *table d'hôte*.

Nigdy w życiu nie miałem uczucia takiej przewagi, wyższości, jak w owej chwili. Nie byłem bowiem na tyle głupi szczęście moje robić zawisłem od ślepego trafu. Owszem, przeciwnie — i tu się uwydatnia przez tyle lat uzbierana moja żądza zemsty — oba losy oznaczyłem dwójkami. Którykolwiekby więc los wyciągnął, musiał przegrać. Lecz i na moim losie była dwójka.

Przy stole był Tadek w znakomitym humorze i przekomarzał się z naszą sąsiadką; pomimo tego uważałem po nim silne znużenie. Żył więcej odemnie i odczuwał widocznie bardziej skutki długiej podróży. I pani Y. czuła się niedobrze i usunęła się zaraz po szkole, z tem szepnięciem mi zastrzeżeniem że przy naszej umowie pozostaje. Godziny, które teraz nastąpiły, zaliczam do najpiękniejszych mego życia. Oczekiwanie takiego pewnego szczęścia, jest więcej, nić samo szczęście. I w mojej nadczułowości uczułem pewien żal. Wszedłem do sąsiedniego pokoju, zajmowanego przez Tadka. I gdyby nie to, że znalazłem go w głębokim śnie, byłbym całe to losowanie cofnął. Lecz widocznie, jak to jego spokojny sen dowodził, poddał się swemu losowi. Wróciłem więc do swego pokoju. Drżałem na całem ciele z powodu rozkosznego oczekiwania. Wybiła piąta. Nie śmiałem oddychać, z takiem natężeniem łowiłem każdy szmer. Z przerażeniem spostrzegłem, jak strasznie mnie to czekanie denerwuje. Wskazówki mego zresztą doskonałego zegarka, zdawały się nie poruszać. Ale i zegar na kominku wskazywał dopiero 20 minut po 5-tej. Teraz — coś zaszeleściało — teraz idzie ona, serce biło mi jak młotem. Ale nie, to mi się zdawało. Wziąłem książkę do ręki i zaraz ją odrzuciłem. Poraz może już 10-ty poprawiłem kwiaty stojące na stole. I mijał kwadrans za kwadransem a ja w uszach dostałem bólu od zbytniego natężania słuchu. Wreszcie o godzinie w pół do 7 przemogłem się i wpadłem do pokoju Tadka. Nie było go tam. Lecz i jego walizki nie było. Przyszła mi straszna myśl. Zwlokłem się na I. piętro, gdzie pani Y. pod Nr. 13 mieszkała. Drzwi zastałem na oścież otwarte. Pokojówka obłóczyła świeżą pościel. Pani Y. odjechała i to w towarzystwie mego przyjaciela Tadka.

*Z.*



— Co ten pan powiedział?

— Powiedział, że chciałby się z panią widzieć!

— No i co?

— Wszedł do buduaru pani i położył się do łóżka!



— Czy znasz tego pana co idzie za nami?

— Nie mogłabym na to przysiądz!.. Godzina była wtedy późna, a ja taka zmęczona...



**Nasze dzieci.**

— Wiesz co? Bocian przyniósł nam wczoraj maleńkie dziecko!

— Nas nie stać na takie zbytki!.. Mój ojciec sam wszystko robi!



— A jeśli pana wysłucham, to co?

— Kupię ci branzoletę złotą, albo pierścionek z kamieniem!

— Ach! Nie jestem taka wymagająca! Mnie wystarczy skromna obrączka ślubna!



**Starszy pan.**

— Przepyszny kąsek!.. Tylko dla mnie trochę za twardy!... O! Gdyby zęby miłości można także wprawiać!



W średnich wiekach podlegałaby ekskomunice. Bo czyż można w Wielki Post pokazywać karnawałowe pokusy: mięso i pączki?



— Czy był kto u pani?
— Wielmożny pan może wejść spokojnie! Był, ale już poszedł przed pół godziną!



**Amor na wsi.**

*Dziedzic:* Marysiu! Wiosna nadchodzi!...
*Marysia:* A cóż to, czy jaśnie pan nie ma żony?

## Z listów Hermogenesa Klapy.

Kochani moi!

Jednakowoż zmieniłem projekt, co się ludziom zresztą bardzo często zdarza. Zamiast wracać do Krakowa, jak w poprzednim liście obiecałem, siedzę dalej w Paryżu i radzę sam sobie, jak umiem, i innym, jeśli mnie kto o radę zapyta. A jest takich dość, bo tylko cesarskich radców nikt tem nie trudzi, a ja, Bogu dzięki, cesarskim radcą ani nie jestem, ani nie byłem, ani też nie będę, skoro obecnie cesarze i króle idą już w odstawkę.

Jeśli byłby kto ciekawy, dlaczego zostałem w Paryżu, to mu mogę powiedzieć, gdyż to nie jest tajemnicą. Złożyły się na to rozmaite powody, przedewszystkiem zaś ten, że chciałem poznać karnawał paryski i paryskie zapusty, w popielcową zaś środę zjeść sobie porządnego śledzia, bez którego Wy, biedacy, musicie się jakoś obejść. A my tu śledzi mamy dość, nie tylko pocztowych, ale nawet i telegraficznych, z drutem i bez drutu.

Pozatem pomyślałem sobie, że, skoro wielki post się zaczyna, to na ową amerykańską słoninę nie ma się co spieszyć, dogadzając bowiem grzesznemu cielsku, nie zapominam też i o duszy i nie chciałbym, aby po najdłuższem mem życiu miała się smażyć w piekle, gdyż przypuszczam, sam gorąca nie znosząc, że nie byłoby jej tam zbyt przyjemnie.

Zresztą wyczytałem w którémś z pism, że tę słoninę już zjadły szczury, co było do przewidzenia, skoro się bowiem dobrały swego czasu do zapasów magistrackiego cukru, powiedziałbym im sam, że są głupie, gdyby zapomniały o słoninie i to do tego w karnawał.

Niech sobie biedaki używają, niech i one wiedzą, że to wojna. Zato będziecie mieli wyborne z nich kiełbasy wiejskie i bodaj jedną z nich możecie mi przysłać przez któregoś z członków misyi, wracających do Paryża, bym jedząc ją (kiełbasę nie misyę!) nie mogąc ciałem był choć duchem z Wami.

Na pozostanie nad Sekwaną, która jest równie brudna, jak Wisła i zupełnie taksamo ma mokrą wodę, wpłynął także i telegram Wilsona, jaki od niego onegdaj otrzymałem.

Telegrafował krótko, ale zrozumiale:

„Jestem zdrów. Wszystko w porządku. Stara w dobrym humorze. Czekaj na mój powrót".

Obowiązek kazał więc czekać, zwłaszcza, że to długo podobno nie potrwa, gdyż Wilson jest już spodziewany w Paryżu w połowie marca. Przybywszy do Ameryki umył się tylko, zmienił bieliznę, przebrał, ucałował raz i drugi swą starą i wraca. Do Ameryki wołała go ona, do Europy woła go zaś obowiązek.

Nie mogę narzekać, aby mi się tutaj nudziło. Zajęcia mam dość, a jeśli znajdę chwilkę wolnego czasu, gramolę się na wieżę Eiffla i stąd patrzę w stronę Krakowa. Ale nie wiem, czy wzrok mam już skutkiem wieku osłabiony, czy może powietrze zimowe nie jest dość czyste, bo jak dotąd przynajmniej nic jeszcze nie ujrzałem. Raz wiatr porwał mi kapelusz, drugi raz okazała się niegrzeczną jakaś przelatująca wrona czy kawka (w tutejszych restauracyach nazywają się one kuropatwami... ale i u nas podobno francuska kuchnia wchodzi coraz bardziej w modę...), ja jednak nic sobie z tego nie robię i spędzam tutaj, na najwyższej platformie, bardzo przyjemne chwile.

Gdybym tak w Krakowie łaził na wieżę Maryacką i spoglądał zbyt często na Kraków, z pewnością już dawno, jako niebezpieczny szpieg, siedziałbym na Montelupich lub może nawet powiększyłbym grono aniołków. Bo austryacka sprawiedliwość nie znała żartów!... Ale, co Kraków, to nie Paryż!... Tu powiadają: patrz sobie, dopóki ci się nie sprzykszy!...

Muszę się pochwalić, że zostałem powołany do rady dziesięciu na jedenastego członka, to jest takiego, który na posiedzenia nie potrzebuje przychodzić. Ja się też tam bynajmniej zbytnio nie kwapię, pamiętam jednak na każdym kroku o swych obowiązkach, którymi tak mam mózgownicę nabitą, że podobno nawet przez sen mówię o polityce. Jestem wogóle bardzo nerwowy, wszystkiem się bardzo łatwo przejmuję, nic też dziwnego, że w czasie wojny bardzo często udawałem karabin maszynowy.

Choć, jak się wyżej rzekło, na posiedzeniach nie bywam, jestem przecież najdokładniej o tem poinformowany, co tam mówiono i muszę się przyznać, że mi się zupełnie nie podoba powołanie do życia komisyi dla sprawy polskiej. Wiadomo, co to znaczy u nas w Krakowie „odesłanie czegoś do komisyi". Jest to poprostu pogrzebanie sprawy, bo zanim ona stamtąd wyjdzie, już cały świat o niej zapomniał. Ale i komisya komisyi nie równa, kto wie, czy francuskie nie okażą się sprawniejsze.

Konferencya pokojowa radzi więc, że aż trzeszczy, rada dziesięciu radzi, bo dlatego się tak nazywa, komisye radzą, a projekty rodzą się, niczem grzyby po deszczu. Wszystko zaś ma być gotowe do chwili powrotu Wilsona, poczem my obydwaj zabierzemy się do ułożenia ostatecznych warunków pokojowych i damy je interesantom do podpisu, gdyż wszelaka nad nimi dyskusya wykluczona. Już się inni dość na ten temat nagadali, reszta więc może cicho siedzieć, bo gdyby tak każdy chciał wtrącić swe trzy grosze, to pokoju nie mielibyśmy nawet i za sto lat.

Rozmawiałem kiedyś z Pichonem, naturalnie o sprawie polskiej i dowiedziałem się z jego własnych ust, że Gdańsk przeznaczyła koalicya stanowczo dla nas, byśmy na nikogo się nie oglądając, mogli mieć tak na adwent, jak i na wielki post swoje własne śledzie i mogli się kąpać w swojem własnem morzu. Jako rekompensatę za to otrzymają Niemcy Dyabelską wyspę i tam będą mogli osadzić Wilusia na emeryturze. Nie mając tam nic lepszego do roboty, będzie mógł nawracać na swą wiarę tamtejszych mieszkańców, o ile są tam jacy, prócz czworonogów.

Że z Niemcami przyjdzie do rozejmu, to poniekąd także moja zasługa. Mówiłem o tem kilka razy z Poincaré'm Pichonem, Fochem, nawet z Lloydem Georgem, gdy tu niedawno bawił, ale jakoś moje słowa nie mogły u nich znaleźć posłuchu. Dopiero, gdy Wilson poparł mnie, wszystko było w porządku!

Czechów zmusiliśmy też do cofnięcia się ze Śląska Cieszyńskiego. Ale i oni nie wyszli z tej sprawy bez korzyści, zapewniono im bowiem, że mają na lat dziesięć od chwili podpisania pokojowych warunków jedyne prawo koncertowania w całej Europie, na uroczystem posiedzeniu kongresu pokojowego grać będzie ich orkiestra, a odszkodowanie wojenne, przyznane Polakom, będą mogli wypłacić w kwargiach.

Już to, gdzie się dwu bije, tam trzeci korzysta. Bijącymi się byli Polak i Czech, skorzystała zaś koalicya, godząc w ten sposób powaśnionych, że śląskie węgle będą podzielone na trzy części: jedna dla Polaków, jako właścicieli, druga dla Czechów, jako ich sąsiadów i przyjaciół, a trzecia dla niej, bo i ona węgli potrzebuje. Ponieważ zaś polityce koalicyjni mają, jak to mówią, głowę na karku i pamiętają zawsze o tem, że bliższa koszula ciała, niż kamizelka, kto wie, czy nie każą sobie w podobny sposób zapłacić za pośrednictwo w naszym sporze z Ukrainą, zwłaszcza, że tam leży „polski" Borysław z „ukraińską" naftą, a także i nafty koalicya bardzo potrzebuje.

Już to misyonarze koalicyjni rozglądali się porządnie po całej Europie, zwłaszcza zaś u nas i przyszli do przekonania, że akurat nadajemy się najzupełniej na wiernych sprzymierzeńców, gdyż możemy i lubimy się innym wysługiwać, w zamian sami nic nie żądając, a zadowalniając się tylko obietnicami.

Jestem wobec tego pewny, że los nasz już zadecydowany. Mogą sobie gadać Szwaby, bolszewiki, Ukraińcy i czeskie „Pepiczki", co chcą, Polska być musi, bo jej koalicyi potrzeba. Będzie w każdym razie wyglądała poważniej niż ten nowotwór, który miał powstać z łaski ś. p. mocarstw centralnych, świeć Panie nad ich duszami kolorowemi latarniami! Nawet Czesi zrzekają się swych słusznych pretensyi do odwiecznie czeskiego Gdańska, ale zastrzegają się, że im wolno będzie utrzymywać tutaj swą własną orkiestrę portową, która będzie witać marszem tryumfalnym każdego przybysza, tak, jak to ongiś było w chwili wylądowania Kolumba w Ameryce.

Na jedno jeszcze chciałem zwrócić Waszą uwagę. Rzecz to ważna, czytałem o tem nawet i w *Kuryerku* z ubiegłego tygodnia.

Członkowie misyi koalicyjnych, wysyłani do Polski w sprawach urzędowych, jadą tam nadzwyczaj chętnie, między „Francuzów północy", słysząc i czytając wiele o staropolskiej gościnności, po której sobie wiele, może nawet i zanadto wiele obiecują. Tymczasem zawodzą się bardzo często, być może dlatego, iż społeczeństwo nasze te ciągłe odwiedziny już znudziły i brakłoby tchu do wiwatowania przy każdej takiej sposobności. Tradycye dawnych bankietów w Starym Teatrze żyją jeszcze, ale to było przed wojną, dziś moglibyśmy się zdobyć chyba na kawałek amerykańskiej słoniny lub na obiad w wojennej głodnej kuchni, a ten z pewnością nie przypadłby im do smaku.

Tak przynajmniej ja sobie tę rzecz tłumaczę. Radziłbym w każdym razie, by więcej uwagi poświęcić gościom, zwłaszcza, że się jest zależnym od ich fantazyi. Już Czesi nas wzięli i tak skaczą koło nich, że misyonarze twierdzą, iż im lepiej smakują kwargle i knedliczki, niż bigos hultajski lub zrazy z kaszą... Na to niema rady... Jeden lubi to, drugi owo — jeden woli grzebień, drugi zaś to, co po grzebieniu łazi. *De gustibus non est suspensorium*... jak mawiał słynny rzymski filozof, Szewczenko.

Skoro mowa o Szewczence, to muszę nadmienić, że Ukraińcy domagają się także zamorskich kolonii. Narazie rozpatruję tę sprawę komisya kongresowa i, jak się zdaje, przyzna im wyspę Sumatrę, która nawet dość po ukraińsku się nazywa.

My, Polacy, z pewnością im tego nie pozazdrościmy i nie zgłosimy bynajmniej sprzeciwu.

Pisałbym dalej, ale właśnie w tej chwili woła mnie jeden z rady dziesięciu na... śniadanie familijne, gdyż jego narzeczona pomnożyła ludność Paryża o jedną głowę. Życzyłem mu, aby równie skutecznych dołożył starań do rozwiązania różnych kwestyi politycznych, które nas zajmują. Przyrzekł, ale czy dotrzyma?...

Żegnajcie mi znów na całe dwa tygodnie!

Wasz *Klapa*.

## Kabaret w Teatrze imienia Słowackiego.

Wszystko w świecie jest potrzebne
Jeśli zadań spełnia szereg,
Nawet pełny wóz Talarda,
Nawet, nawet i — „Kuryerek".

Nawet zwykły tingel-tangel
Ma niekiedy swoją racyę,
Gdy się z „szansą" chcesz zabawić,
Albo kiepską zjeść kolacyę.

Lecz w teatrze tingel-tangel,
Pomysł iście hajdamacki,
Wdzięcznym musiał być Trzcińskiemu
Za owacyę tą — Słowacki.

### Niewierny Tomasz.

W saloniku na kanapce siedział sobie pan Karol z panną Jadzią i zabawiali się wesołą rozmową.

Byli już narzeczonymi, na chwilę połączenia przed ołtarzem czekali aż do czasu, gdy pan Karol zda egzamin profesorski, do którego się właśnie przygotowywał.

Jak wielu innych filozofów (choćby nawet jeszcze nieegzaminowanych...) lubował się pan Karol w przysłowiach i miał ich zawsze taki zapas na języku, że mu nigdy nie brakło jakiegoś odpowiedniego, ilekroć tylko zdarzyła się sposobność użycia.

Rozmawiali, rzecz prosta, o tem, jakie to oni będą szczęśliwe prowadzili życie, niech się tylko pobiorą.

Pan Karol przekomarzał się, panna Jadzia wpadała w coraz większy ferwor, rojąc wspaniałe fantazye na tle wspólnego pożycia...

— Ach! — przerwał jej wywody młody człowiek. — Mnie jednak same słowa nie wystarczą!... Ja jestem jak ów niewierny Tomasz i nie wierzę, póki palca nie włożę!...

A Jadzia na to:

— O, fe!... Jakże można być tak nieprzyzwoitym... Jeszcze kto usłyszy z drugiego pokoju i co sobie o nas pomyślą?...

# Ferdek Eleuteryk.



Gwarzyli ludziska, że niech sie ino wojna bedzie kończonca, zaroz bedzie u nos klawij, tymczasem kużdy widzi, kto mo ino kapowidła w makówie ku patrzyniu, że jest inaczyj, bo w wojennym czasie było źle, a teroz jest jeszcze gorzyj.

Weźmy na ten przykład choćby ino trunkowość, bez któryj żoden zrównoważony obewatel rozszyrzonygo Krakowa obchodzić sie nie jest mogoncy, bez wzglendu na to, czy to z przeproszyniem burżuj, czy tyż preletaryjusz. Kużdy mo chroboka, co go gryzie i chciołby go utopić, ale to nie jego wina, że ten chroboczysko nic se z tygo nie jest robioncy, bo umi pływać. Jak se wspomne przedwojenny cyc, blache sakramenckij z mocną, szpagatowyj, głombikowyj w krotke albo bretnalowyj za trzy hopy i porównujoncy ją jestem z tem paskudztwem, jakie sie dziś jest za trzy koruny pijoncym i to jeszcze trza mieć pretekcyje by dostać, to tak mi sie smutno robi kole serco, że z kapowideł zaczynajom ślozy kapać i gzyms jest niczym kurek (ale nie od podatku, ino od miejskigo wodociongu) wyglondajoncy!

Grypsali i godali — żeby im jadaczka za to spuchła — że ta wojna to mo zdemokratyzować społeczyństwo, a tymczasem dziś, dzięki nij właśnie momy samych arestokratów, bo dawnij ino burżuj był korunami za sznapiturę płaconcy, a preletaryjnik mizernymi hopami.

Jeden jedyny tramwaj co sie zdemokratyzowoł naprowde, bo i brudno tam i nima ani pirszyj ani drugij klasy. Tutoj zaprowadzono jedność, równość i bratyrstwo, zrównano wszyst kie stany i obie płci, ale tyż kozano se za to słono płacić, bo majestrot jest tyż hopów potrzebujoncy.

Ale co mi z dymokratycznygo tramwaju, skoro mom Bogu dzienki zdrowe cybuchy i zawdy mi sie śpieszy, więc z zasady dymom na piechty, choć mi szkoda adachów.

Dawnij, jeżeli se człek był chconcy rozradować dusze, szedł do biblioteki Kulczyńskigo albo Urbana, do Siapsi albo Berbera i tu na som widok buteljansów różnygo kalibru radowała mu sie ona w samyj rzeczy, a serce to aż skokało z wielgij uciechy, nie mówioncy już o smaku, który zawdy był należyte ukontyntowanie znajdujoncy.

A dziś?... Wszendzie, gdzie wdepniesz kuli cycniencia sobie na zgryza „próżność próżności", jak to ten Salamon był godajoncy, co to umioł nawet z próżnygo naliwać.

Takich zaś Salamonów dziś już nima. Nie wiem, co sie z nimi stało, czy wygineli na polu chwały i przenieśli sie na łono Abrahama, gdzie, jak se klawo śpiwo Rusin *„ne dajut horyłki, ni pywa, ni medu, ni wyna...*", czy tyż byli sie do innygo fachu przerzucajoncy i teroz robią w pasku, w kużdym razie jestem smutny fakt konstatujoncy, że ich brak. Chcesz se cycnonć, musisz, brachu, być burżuja parzoncy i knajać albo do Mauryziego, do Hawełki, do Grandu, ale i tam cie czynsto zawód jest spotykajoncy, bo dupeljansy są, ale w nich pustka, że aż sie człekowi słabo robi na som widok i chciołby sie wzmocnić, a tu nima czym.

Bo i prosze mi być powiadajoncy, czy to możno być równowage duchową utrzymujoncy, gdy se człek spragniony, a nimogoncy znaliźć inakszyj trunkowości, chce być bodaj lampke krajowygo węgra chlapioncy, a tu widzi, że drzwi przybytku, dawnij tak gościnnie do wnątrza zapraszajonce, zamknięte na cztery spusty, a na drzwiach kartka: „Z powodu zepsucia wodociągu interes chwilowo zamknięty".

Z rozpaczy to człek mo w pirszyj chwili ochote poknająć pod wodociąg, napić sie wody i popełnić w ten sposób samobójstwo, ale se zaroz przypomino, że pon fizyk był ogłaszajoncy: „Mimo przeciwności nie upadaj nigdy na duchu".

I daje se spokój, bo se myśli, jest źle, ale może przecie bedzie lepij... Ale to lepij jakoś nie chce sie pokozać, choć już dawno miało tu być!

Momy Syjm i ten powinien być tem zarzondzajoncy, ale to bida, jak się wezmą do nieswojij rzeczy tacy, co sie na tem nie są znajoncy. Taki minister, taki poseł mo makówe ino poletyką zagwożdżoną, niczym staro z przeproszyniem haubica i nie myśli o tym, aby ulżyć bidnymu narodowi i dać sie mu co porządnygo napić, ale tanio. Niech ino wrócą nasze posły, już my im tu za to wytrzemy w porządku kapitułe. Taki sufragan strzępi se tam za tysionc pińcset marek jadaczke po próżnicy, ale to go nie boli, ze tu naród z pragninia wielgigo jest ginoncy, bo nie chlebem ino żyje człowiek...

A taki Kumitet paryski nie powinien sie to być starajoncy, aby z Hameryki zamiast słoniny (teroz przecie wielgi post!...) raczyj trunkowość była nadchodzonca?... Kto suszy, ten se chce od czasu do czasu być gardło odwilżajoncy...

O naszyj Radzie mijskij nie mówie, bo ona teroz nimo czasu, łatajonca budżet i szukajonca hopów, których znaliźć nimoże!... Wiem, że tam między ojcami miasta są klawe chłopy, same cyc lubionce, zatym tyż i drugim w tym kierunku dobrze życzonce, więc im tygo za złe brać nimożno. Bedą hopy, nastaną i lepsze czasy, urzondzi sie jedną i drugą popijawe dlo narodu, bo sposobności nie brak, a zaczynają szmaciorze grypsać, że ginie już mindzy nami staropolsko cnota gościnności!

Najwinkszą uraze to mom już do tych włośnie szmaciorzy, którzy zamiast poruszać tak żywotne sprawy i wziąć naród w obrone, kłócą się jakie Pantaljon mioł być pantaljony noszoncy... Niechajby se był i bez pantaljonów, o to nikogo makówa boleć nie powinna!... Jo bez nich, choć sie Pantaljon nie nazywom, musze sie być obchodzoncy, a nawet pies na to nie warknie!

Tak być nie powinno i jeżeli sie setuacyja w najbliższym już czasie nie poprawi, to, jak mówi mój przyjaciel Bejryś, cinżko bedzie człekowi nawet umrzyć, choć celem ułatwinio tygo jenteresu wynaleziono znów nowe choróbsko na pocieche stanu likarskigo i aptykarskigo. Amen.

# Kuracya się nie udała.

Przyszedł do doktora
Młody z twarzą schudłą,
By eskulap poznał
Gdzie choroby źródło.

Lekarz rzekł: — Nie trzeba
Dyet ni mikstury,
Tylko sił wzmocnienia:
Jedź pan zatem w góry!

Używaj tam ruchu,
Odbywaj spacery —
Powrócisz do zdrowia
I nabierzesz cery!

A więc, by odzyskać
Siły i rumieniec,
Powędrował w góry
Wychudły młodzieniec.

Lecz, choć przez dzień cały
Używał powietra,
Zdrowie jego gorsze,
Cera jego bledsza.

— Oj! Nie dobrze z panem! —
Rzekł doktór troskliwie
— Wieś ci nie pomogła,
Czemu ja się dziwię!

— A ja się nie dziwię! —
Rzekł młodzian po cichu
— Nie było tam mieszkań,
Spałem więc na strychu.

Nie miałem spokoju,
Nie znałem wygody,
Bo na strych ten wiodły
Strasznie strome schody.

Na dobitek jeszcze
Od strony podwórka
Spała na tym strychu
Gospodyni córka!...



Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madeiskiego.



*Ona:* **Jakiś ty nieufny!... To nie jest list od kochanka!..**
*On:* **Muszę go przeczytać!**
*Ona:* **To rachunek od krawcowej!**
*On:* **Tak? A więc go nie będę czytał i wierzę ci na słowo!...**